ANDRZEJ CZARYNA

POWIEŚĆ ORYLA.

«SIELANKA».

WARSZAWA.
Nakładem Tygodnika Powszechnego.
DRUK J. NASIOROWSKIEGO CZYSTA NR 8.

1887.

Дозволено Цензурою.
Варшава 8 Мая 1887.

Druk. T. Nasiorowskiego Czysta 8.

I.

Na Wiśle, na modrej, w górzystej ustroni,
Wśród lasów i pola, wśród skalin i błoni,
Już tratwa czekała u wioski podnóża,
By wkrótce odpłynąć z drzewiną do morza.

Już jawor i sosna w prząsełka złączone,
Ostatnie ukłony zasłały w tę stronę
Górzystą, co kiedyś ich była rodziną—
A teraz het od niej daleko odpłyną.

Już na nich zielony liść się nie rozwinie,
I ptaszę nie zwije gniazdeczka rodzinie,
Nie będą i drzewa dla swej rodzicielki
Ozdobą, bo pójdą prusakom na belki...

II.

Tam z chatek wychodzą jak dęby oryle
I grono rolników i dziewek też tyle,
I biegną pożegnać swej wioski rodaków,
Co płyną ku morzu, do Gdańska przez Kraków.

I czegóż ty płaczesz nadobna dziewczyno?
Oryle z wioseczki nie długo odpłyną,
A nim nas te białe odlecą bociany,
To już i z powrotem będzie twój kochany

I sznur ci świecących przywiezie korali...
Lecz dziewka nie słucha i ciągle się żali:
O Janku, ty Janku, zostawisz mnie biedną,
Mnie, biedną sierotę tutaj samą jedną.

Jankowi drzy serce, lecz matuś jest doma
I biedna i stara i słaba i chroma,
Toć trzeba cośkolwiek przysporzyć grosiwa—
Więc płynie, choć płacze Maryś nieszczęśliwa.

— O nie bój się Maryś, już żyd dał zadatek,
Da więcej pieniędzy... W górach niedostatek,
Ni owies ni żyto nam nie dopisało,
A toć to żyć trzeba i żyć zimę całą.

I ścisnął swą Maryś, a ona na szyję
Rzuciła mu ręce i patrzy mu w oczy.
Łka cicho, a serce tak silnie jej bije,
Że ledwie jej z piersi na świat nie wyskoczy.

I stali tak długo. Już Jasiek się ckliwi
I razem wciąż szepczą, że są nieszczęśliwi,
Do piersi się cisną; swe dłonie ścisnęli,
Zda się już teraz nikt ich nie rozdzieli.

III.

Już tratwa odpływa... Już wzniesione wiosła
Pluskają, a plusk ich het woda rozniosła.
Ciche wód zwierciadło rozpryska się w koła;
Co jedno to większe...
Gromada wesoła

Patrzy się i śmieje i krzyczy i śpiewa,
A woda z pod wioseł obryzguje drzewa.
Lecz smutno na tratwie, bo Janek wciąż wzdycha,
A choć flis gorzałką dolewa kielicha,

Choć pije za czterech, ból serce mu ściska
I radby się wrócić, póki droga blizka.
Wtem stary to Bartosz odrazu spostrzega
I z radą ojcowską do Janka przybiega.

I słowem rozumnem ku niemu tak zmierzy:
— Źle Jaśku, kto w Boga, kto w ludzi nie wierzy,
Źle Jaśku, jeżeli droga się nadarza,
Ty tęsknisz za domem.
Wszak dla gospodarza

To pięknie gdy świata pozna on aż tyla,
Bo potem przyjemna w życiu każda chwila,
Pogwarzyć o Prusiech, o starym Kaźmierzu,
O Gdańsku, Toruniu, lub o Sandomierzu.

Czy źle to flisakiem być choć przez rok cały?
Przejrzyć tyle świata... Patrzno: co za skały
Piętrzą się nad Wisłą, jakoby świątynie,
A ona u spodu, kiejby wężyk płynie.

A wyżej wysmukłe drzewiny zielone,
Jak pięknie rozpięły cienistą koronę;
Gdzie spojrzysz to wszystko bozkiej ręki dzieło,
Co tylko na ziemi i niebie spoczęło.

Wpatrywał się Janek w wysokie te góry,
Na których się czerni wał ruin ponury
I wnetek tak pięknem mu wszystko się zdało,
Że patrzył się w oczy Bartoszowi śmiało,

A nizko przykląkłszy ucałował ręce
Starego flisaka. Stanął przy piosence,
Tej, którą o zmierzchu śpiewali oryle...
O piękne, o wzniosłe są to życia chwile!

Gdy zmrok, już do jutra, na tratwach zapada,
Wieczorem wesoła orylów gromada,
Ustawszy na drzewie, którego zatknięto
Na noc, by odpocząć, ogromnemi koły,

Nuci śpiew kościelny, cichy, nie wesoły,
Nuci wciąż i długo tę piosenkę świętą,

Ginącą we mgle ciężkiej, jak dzwonek nieszporny.
Te tony zna każdy. Jest to hymn wieczorny,

Który nasz Karpiński napisał dla braci.
Ta pieśń w naszym kraju już się nie zatraci.
Bo żyje u ludu i z nim się też zlewa.
Ją oryl i rolnik i każdy człek śpiewa.

IV.

Tymczasem mgła wzrasta ścieląc się na smugi,
Zda się, że brak końca dla Wisły, dla długiej.
Już ścichła modlitwa; oryle też zwolna
Rozchodzą się z koła...
Już gawiedź swawolna

Po pracy znużona rozpala ognisko,
Okrąża je wkoło, tworząc legowisko.
A młodsi pospołu szykują wieczerzę:
Ziemniaki lub kaszę, albo ryby świeże.

A Janek? On tylko spogląda w tę stronę,
Zkąd przybył i tęskni. A słonko czerwone
Już kryje się w rzece, już nad drzew koroną
Zawisły promienie. Zda się wierzchy płoną,

Lub zieleń w szkarłatną odziewa się szatę
I niebo w fantazyę jakąś jest bogate:
W barw tyle, co mieści się w kole tęczowem,
Ubrały się chmurki i szlaczkiem wzorowym,

Jak drobną koronką, w sypły powiązane,
Patrzą się w Wisełkę, czy pięknie ubrane.
Już woda ściemniała i rzadko gdzie płonie,
Od blasku chmur krasnych, a pola i błonie,

Upięły szkło rzeki, jak w ramy złocone
I Maryś gdy wstęgi rozwiała wplecione,
W warkocze u lustra, to ono tak lśniło
I blaskiem i życiem, że wspomnieć aż miło.

V.

Zagasło słonko, sczerniały też chmury,
A jeszcze w zadumie stał Janek ponury.
W tej chwili, gdy słońce zbiegło już z kaskady,
Wnet gwiazdek maleńkich zabłysły miryady.

Co jedna to inna, a blaskiem tak płonie,
Jak świeca, lub brylant w złocistej koronie,
Na niebie ogromnem tworząc niedźwiedzice
Lub ryby, lub raka... lub okropną lwicę.

To z czterech kół znowu wóz zwolna się toczy,
A każda gwiazdeczka, jak Marysi oczy,
Świeci się prześlicznie...

. . . .

Ogień rozłożony

Już z dymem wybucha z za skromnej osłony
I trzaska na tratwach; wiatr ogień rozwiewa,
A oryl zziębnięty dokłada precz drzewa.
Cichutko; gdy węgiel do wody upadnie
To syczy...

A w Wiśle głębokiej, tam na dnie,
Świat duży zatonął: lśni niebo się całe,
To tratwa, to flisy, to gwiazdeczki małe,
To ogień jaskrawy odbija się w wodzie—
Zda ci się, że widzisz tam czary na spodzie.

VI.

Usnęli już wszyscy. A woda płynąca,
Swą falę szemrzącą o tratwę roztrąca,
Wije się i syczy. I tylko z za chmury
Rogaty ten księżyc przygląda się z góry.

I Jasiek, co w smutku usiadłszy na drzewie,
Wciąż myśli o lubej i więcej nic nie wie,
A przed nim w topieli twarz blada księżyca,
Rozrzuca promienie i strasząc zachwyca,

A od niej po wodzie lśni światła się smuga,
Jak deska szeroka, jak drożyna długa
I gdzie się obrócisz, to wszędy w twe oczy,
To światło upornie, niby duch się tłoczy.

. . . .

Matuchna i Maryś, Jaś myśli stęskniony,
Zapewne śpią razem w chatce ulubionej,
Zapewne przez szparę starej okiennicy
Ten miesiąc ciekawy wgląda do świetlicy.

Tam Maryś w bieliznie związanej wstęgami
Spi smacznie, spokojnie, tuż pod obrazami;
A Jezus na krzyżu w koronie cierniowej,
Swą łaską w nieszczęściu ją wesprzeć gotowy.

Marysi włos splecion w warkocz jeden długi,
Z pościeli się zsunął i do ziemi sięga,
Na niego padają światła białe smugi—
Zda się, że u łoża wisi złota wstęga.

Wśród ciszy tej słychać, jak teraz oddycha
Uśpiona Marysia, swobodnie i z cicha.—
Tak marzył nasz Janek, a wdłuż po nad rzeką
Dziwaczne zjawiska stanęły daleko.

A jawor i brzózka, co we dnie zachwyca,
Wieczorem wygląda niby pokutnica;
Gdzie niegdzie już tylko ten księżyc przekora
Ukradkiem się wdzierał i patrzał jak zmora.

Snujące się między szczelinami skały
Promienie, do Wisły czasami sięgały.
Spokojnie do koła, wiatr tylko kołysze
Zwierciadło wód szparkich, szmer przerywa ciszę.

Swym smutkiem, swą myślą flis młody złamany
Ułożył swą głowę na pole sukmany
I zasnął... a we śnie to wszystko mu prawie
Stanęło przed óczmi, co widział na jawie.

VII.

Już ranek oddawna zawitał na niebie,
Już ze snu zbudzona ptaszyna świergocze,
Szukając pokarmu dla dziatek i siebie.
Dziewczyna w izdebce już plecie warkocze.

A rolnik do sochy zakłada swe woły
I flis się też zerwał z posłania wesoły,
Ażeby oglądać poranną dziś zorzę
I słońce, co mgła go oblewa jak morze.

O jakże dla flisa jest widok uroczy,
Gdy zwróci na tarczę słoneczną swe oczy,
A ona powoli, jak *szryka* [1]) ta z wody,
Podnosi się w górę wśród pięknej pogody.

I płynie po niebie, jak tratwa po Wiśle,
Co ją ze sztuk różnych powiązano ściśle.
Wschód słońca jest pięknym: To światło olbrzymie
Budzi się niechętnie, zda się nawet drzemie.

---

[1]) Wiosło.

Wreszcie, orzeźwione powierzem zbyt świeżem,
Wstydzi się lenistwa i jednym pacierzem,
Jak skokiem tygrysa, wznosi się wysoko
I patrzy tak śmiało człowiekowi w oko

Że ten nie wytrzyma takiego wyzwania
I jakby niepyszny swe oko wnet skłania
Ku ziemi, ujmuje za wiosła i dalej
Do pracy zaprzęga swe ręce ze stali.

VIII.

O jakże cudownie o ranku na świecie:
Wiatr niesie woń świeżą, co bujne ją kwiecie,
Rozrosłe na łąkach z siebie wydobywa;
Tam ciągnie pług ciężki para wołów siwa;

Tu pszczółka wciąż brzęczy, skowronek też nuci—
Zda się na tej ziemi już nikt się nie smuci—
Jaś chyba, co tęskni tak bardzo, tak srodze,
Za swoją dziewczyną w przydługiej tej drodze.

. . . .

A tratwa wciąż płynie daleko, daleko,
Już wioski rodzinnej nie widać nad rzeką,
Nie widać skał dużych ni ciemnych tych borów,
Gdzie sosny się cisną do smukłych jaworów.

Nie słychać ni śpiewu, co zawsze tak szczerze
Nuciły dziewuchy, idąc na wieczerzę
I nawet kościółka w cudownej ustroni,
Lot bystry, sokoli, nieprędko dogoni.

Co swojskie, co znane, zginęło gdzieś w dali;
Tu tylko to słońce ogromne się pali,
A zamiast piosenek wzbija się nad Wisłą
Wołanie Bartosza, by drzewo nie zwisło

Gdzieś tam na mieliznie: „do lądu,” „na wodę”
I pełznie czółenko, a wiciny młode,
Zatyka flis biegły gdzie mielizna świeci.
Ostrożnie oryle, bo gdy tratew wleci,

To pracy przybędzie wam niezmiernie wiele,
A ludzie powiedzą, że flis „*ma wesele.*”

. . . .

Tymczasem dzień za dniem schodzi niespodzianie—
Niedługo już tratew na miejscu swem stanie,

Niedługo, a Janek dłoń ściśnie dziewczynie,
I więcej już nigdy od niej nie odpłynie.
Lecz czyż to „*niedługo*” ulży choć na chwilę
Temu, co najdroższą swą kocha aż tyle,

Że bez niej nie może żyć dłużej szczęśliwy?
Nie, bo on choć myślą, choć we śnie, o dziwy,
Jest zawsze z nią razem...
I teraz wiosłuje,
Znój z czoła opada, lecz tego nie czuje,

Bo myśl mu gdzieś pierzchła za góry, w kraj znany,
Gdzie czeka na niego gołąbek stroskany.

IX.

Co wieczór to prędzej schodziły godziny,
Bo wtedy Bartłomiej, opiekun jedyny
Jasieńka, z nim gwarzył o wiosce i matce,
A często i lubej, co czeka nań w chatce.

To znowu gdy z tratwą stanęli pod grodem
Warownym lub wielkim, to znów Bartosz stary
Snuł swe opowieści, jakby jakieś czary,
I mówił kto rządził tym wielkim narodem.

A Janek go słuchał z uwagą niemałą,
Bo ślicznie tak gwarzył, że wszystkim się zdało,
Iż widzą przed sobą tych panów w purpurze,
Co kiedyś się bili na tym nagim murze,

A nawet kobiety pono niezmęczenie,
Na swych nieprzyjaciół zrzucały kamienie.

Oj różni też byli wrogowie tej ziemi,
I Turcy i Szwedzi i ci ludzie niemi—

Co na zachodzie obsiedli nas kołem;
Trza było stać zawdy do nich pewnem czołem.

Lecz naród wraz z królem, czcząc świętą Maryję,
Posiekał tych wrogów na łeb i na szyję;
Zmykała ta gawiedź łakoma i chciwa,
Ale z niej połowa została nieżywa.

Ciekawy jest obraz miast wszystkich nad Wisłą,
Jedno z nich na górze w obłokach zawisło,
Drugie zaś przeciwnie spoczywa w dolinie,
A przy nim rzeczułka wężykiem wciąż płynie.

W przeszłości te miasta swe miały koleje:
Jedno z nich się wznosi, drugie zaś maleje
I ginie, bo zamiast polepszyć mu dolę,
Zli ludzie się pastwią. Ej zamilknąć wolę!

A dzieje tej ziemi znał Bartosz wzorowo,
Bo co rok flisakom powtarzał na nowo;
Lecz potem tak nagle kończył opowieści,
Że ci aż krew w żyłach zastygła z boleści.

A choć go proszono, nie rzekł więcej słowa;
Lecz flisy wiedzieli, że w duszy swej chowa
Żal większy niżeli nad ojców mogiłą.
— No kończcie Bartoszu.
— Tu końca niebyło.

Tak wnet odpowiadał i twarz łzą zalaną
Obcierał powoli swą ostrą sukmaną.

. . . .

Tak flisom wieczory zeszły przy gawędzie
O tem co już było, co jest i co będzie!

Tu się też nasz Janek dowiedział dość wiele:
O królach i miastach i świętym kościele,
Pamiętał też dobrze kto Kraków ocalił
Od smoka srogiego, kto Sandomierz spalił.

Wpłynęli do Prusiech. Tu znowu pomału.
Do swego powracał Bartłomiej zapału,
Zaciskał pięść srodze i klął na krzyżaki,
Boć im nie wydołał zbrodniarz byle jaki.

Oj, krzyżak nikomu się też nie zadłużył,
Nosił krzyż na piersi, a czartom sam służył,
Na ziemi żył polskiej, jadł jej chleb z jałmużny,
A łupił ją srodze, by nie został dłużny.

I wiele też więcej opowiadał rzeczy
Ów Bartosz, o owym kraju ponad morzem,
A tak wyraziście, iż nikt nie zaprzeczy
Że chyba był natchnion, jako słowem bożem.

Też wszyscy Bartosza kochali flisowie
Bo człek to przychylny, a gdy raz co powie,
To święte. On słowa z pewnością dotrzyma.
A przytem uczynny.
Bywało, gdy niema

Flis grosza, to zawsze do niego „*Otmanie*"
Czy wiecie, że dzisiaj chyba na śniadanie
Wypiję pół Wisły, aż tratwa osiędzie
Na piasku. To Bartosz wnet worka dobędzie,

I daję złotówkę. Chorego też leczy,
Smutnego ma również w ojcowskiej swej pieczy,
A chociaż się często nagdera, nałaje,
To zawsze, gdy trzeba, pomaga i daje.

Z Bartoszem otmanem, jak z dobrym kamratem
Lubili flisowie tratwy spławiać latem.

X.

Już skończył opowieść nasz Bartosz uczony
A flis się na nocleg rozpierzchnął zmęczony,
I tylko sam Janek, w osobnem ustroniu
Siadł myśleć, co też tam dzieje się na błoniu.

Czy dziewki już chodzą z grabiami po siano?
I jak tam Marysia wygląda co rano?
Czy zawsze, wesoła rumiana i zdrowa?
W pamięci swej jego jak i on ją chowa?

Oj Maryś jedyna, oj Maryś ma złota,
Żebyś ty wiedziała, jaka mnie tęsknota
Ogarnia, gdy myślę co wieczór o tobie,
Tobyście z matulą przybyły tu obie.

Oh! bo to w tem sercu panuje tęsknica,
I tak je wciąż piecze, niby błyskawica,
I radbym już stracić grosz, bo żyd go nie da,
Byleby ztąd uciec. Wiem, czeka nas bieda.

Lecz bylebym ciebie mógł ujrzeć, kochana;
Bo mi tu tak smutno. Od rana, do rana
Myśl moja za tobą wciąż pędzi, jak ptaszę,
Co wraca na lato w te strony, w te nasze.

Tak marzył, gdy Bartosz przybywszy pomału
Potrącił go w ramię i zbudził z zapału.
— I znowu coś dumasz? Ha wiem ja, poczciwy,
Ty dążysz do matki, do wioski, do niwy,

A najpierw do lubej, bo dobra dziewucha,
Uczciwa i piękna. Żar z oczu jej bucha;
Znam ci ją od dziecka, bo chrzestnym jej byłem,
A nawet paciorka i czytać uczyłem.

I ciebie mój drogi poznałem dokładnie,
I kocham cię bardzo, bo widzę, że na dnie
W twem sercu tkwi cościć. Masz piękne zamiary;
Wiesz Janku, że jestem już słaby i stary

I chciałbym wypocząć po ciężkiej tej pracy
Jaką-to corocznie ponoszą flisacy.
Mam grosza dostatek, bo przecież czas długi
Porałem się z drzewem, tocząc je na strugi.

A że mi Bóg dzieci wziął, mój Janku drogi,
Więc jestem jak kołek. Tyś dosyć ubogi,
A że ja pieniędzy nie wezmę do trumny,
Więc kupię ci gruntu i będę żył dumny

Z waszego już szczęścia, z waszego kochania..
— Bartoszu! Bartoszu!...

— Jeno bez gadania,
Na gruncie tym będzie chateczka, stodoła,
I piękny ogródek z drzewami dokoła.

Tam sobie sprowadzisz twą lubą dziewoję
A ja ci w obrazy świetlicę przystroję,
Zaś w Gdańsku wstęg kupim dla twojej tak wiele,
Że każdą swym strojem prześcignie w kościele.

A za to starego gdy syn się urodzi,
Za kuma poprosić wam zdaje się godzi...
Nie skończył, a Janek już go za kolana
Chwycił i całował...
— Marysiu kochana

Oj będziesz szczęśliwą. Bartoszu uczciwy,
Wam to wynagrodzi Bóg nasz sprawiedliwy!

— Nie dziękuj chłopaku, lecz zabij te koły,
By tratwa nie poszła i idź spać wesoły,
A jutro pogwarzym o twojem weselu.
Tak skończył i odszedł...
— Z Bogiem przyjacielu,

Rzekł Janek i spieszył wykonać zlecenie.
Zrobiwszy co trzeba, wdzięczny nieskończenie
Staremu flisowi za tę obietnicę,
Sam zasnął. Z początku gorzało mu lice,

Lecz zamiast w spoczynku odświeżyć swe siły
I marzyć o szczęściu, co go dziś spotkało

To czarne mu krzyże wciąż tylko się śniły
I cmentarz w swej wiosce, gdzie grobu nie stało.

. . . .

Ucichła natura, na tratwach też cicho
I tylko na łąkach gdzieś brzęczy świerszcz licho,
Lub wiatr niekiedy gałązki potrąca,
I rybka co pluszcząc zwierciadło wód zmąca.

W tym nocnym spokoju, jak gdyby takt główny
Muzyki, odbija się oddech już równy
Śpiącego oryla. Spokojny sen lepiej,
Niż wszystkie potrawy siły mu pokrzepi.

Też oryl spi twardo a pracą znurzony
Nie słyszy, że het tam nad brzegiem spieniony
Koń tętni kopytem, a jeździec do koła
Obraca się i silnie: „powódź, powódź” woła

Już ucichł bo dalej popędził jak strzała,
Wołając, że woda dziś w nocy wezbrała;
Popędził ku chatom, a tutaj zdaleka
Nie dostrzegł na tratwie śpiącego człowieka.

Nie dostrzegł i tratwy, bo czyż w tej przygodzie,
Ma czas rozglądać się wolno po wodzie,
Co teraz, gdy księżyc skrył światło nadobne,
Wygląda jak w szaty przybrana żałobne.

XI.

W oddali szmer wzrasta. Co to jest na Boga?
Wiatr jęki przynosi, a w jękach tych trwoga
I płacze i groza, lub dziecka znów łkanie,
To pożar. Nie, gorzej bo Wisły wezbranie.

Wał wody za wałem, wciąż toczy się fala
I sobą niziny obszerne zawala.
Z Wisełki, co w polu się snuła niesporo
Stanęło ogromne wód bystrych jezioro.

A w niem zatopione pierwotne jej łoże;
Chwil parę z jeziora już toczy się morze,
Już brzegów nie widać. Ptak tylko zbudzony
Wyrywa się z trawy i pierzcha spłoszony.

W gniazdeczku zostaje samotne pisklęcie,
A woda bez końca przybywa zawzięcie
I zwolna przez wrąbek do gniazdka się wlewa,
Gdzie nowo wylęgła przebudza się mewa.

Już tam gdzie przed chwilą tak było w około
Spokojnie, jak w grobie, wnet woda swe czoło
podniosła zuchwale i rwąc się, jak strzała,
Po łąkach i polu z wściekłością szalała.

Hej wstawaj mój flisie, zapóźno powieki
Rozdarły się dzisiaj, od lądu daleki,
Już nie myśl o tratwie, lecz raczej o sobie,
Byś na dnie tej wody nie spoczął jak w grobie.

Nie słyszał tych wezwań nasz oryl uśpiony
I drzemał, jak dziecię w kołysce niesionej...
Aż odgłos go zbudził rozbitego drzewa,
Co o most go fala złamała u Tczewa.

Wnet Janek się zerwał, wnet spojrzał przed siebie,
Już ranek, bo świtać zaczęło na niebie
Mógł widzieć przy brzasku wód obszar spieniony,
Lecz myśli go niosły w świat snów niezmierzony.

I zanim ogarnął te chwile niemiłe,
Wpierw widział swój cmentarz, a za nim mogiłę.
A tratew z nim niosły fale rozpędzone
Miotając, jak piórkiem w tę lub ową stronę.

Już ocknął się...— Patrzy: w niezmiernym frasunku
Na prząśle flisowie wzywają ratunku.
A cóż to się stało? Ha tratwa rozbita,
Cóż robić? trza płynąć. Gdzie? Nikt się nie pyta.

Popłyną tam wszyscy, a w kompanii snadniej,
Wraz z tratwą się rozbić i spocząć choć na dnie.

Rwie fala.. Wtem nagle we flisaków gronie
Rozległ się głos straszny: „Bartłomiej nasz tonie.”
Dosłyszał to Janek: spogląda na fale
Strumienie się kłębią, rwą kloce i bale

Z rozbitej już tratwy. Gdzie spojrzeć to ginie
Wzrok w wodzie, co pędem wciąż płynie i płynie
Daleko ku morzu, a taka zmącona,
Jak gdyby lawinę wyrzucała z łona.

A wśród tych pian strasznych, w bezdennej topieli
Na belce daleko włos Bartka się bieli,
I czasem jak echo dolata wołanie
O pomoc od ludzi, lub o zmiłowanie.

Lecz kto się na wodę dziś puści głęboką?
Nad brzegiem, gdzie ludzkie dosięga het oko,
Nie widać człowieka, ba nawet i łodzi,
Lecz czyż to Bartosza zostawić się godzi?

Wołają o pomoc, co prawda, oryle,
Lecz żaden z nich niema odwagi dziś tyle,
Ażeby się rzucił z rękoma gołemi
I flisa starego wysadził na ziemi.

O! innym niż wszyscy był zawsze Jaś młody!
Przeżegnał się szybko i skoczył do wody —
Boć cóż tu zbyt myśleć, to ostatnia rada.
Zdziwiła się strasznie orylów gromada—

Nie jeden zdumiony, wyszeptał wnet zdanie,
Że Bartosz utonie i Janka nie stanie,

Lecz Jasiek nie słyszał już tego szeptania,
On walczy wciąż z falą i Bartka dogania.

Lecz nie tak to łatwo. Co chwila prąd świeży,
Odnosi go na bok i dalej znów bieży,
A gdy go nareszcie nasz Janek pokona,
To nowa przeszkoda wyrwie się z wód łona.

Flis wszakże sił swoich ma jeszcze dość wiele,
A chociaż mu woda wyrządza „wesele,"
On płynie i piersią swą fale przedziela,
By tylko ratować swego przyjaciela.

Już stanął u mety. Na krótkim odłamie,
Nasz Bartosz zmęczony wsparł silne swe rąmie;
Twarz jego pobladła, lecz oczy te siwe,
Iskrzyły się, rzucając wejrzenia lękliwe.

— Tyś Janku—zawołał—tyś Janku! o Boże,
Wszakże ci mój drogi zabraknąć sił może.
I cóż ty chcesz czynić? wiesz, że przy powodzi,
Zbyt swojej potędze ufać się nie godzi.

On na to nie zważał. Lecz w tej samej chwili,
Jął wspierać Bartosza. Ku brzegom dążyli.
I o czem tu myśleć? Wzrok lądu nie sięga,
A wody tu taka niezmierna potęga,

Iż nawet myśl błysnąć nie może wesoła,
Że człowiek z tych nurtów wydobyć się zdoła;
Lecz płyną, a w starcu resztka sił już kona,
Osłabłe też ręce padły na ramiona,

Młodego wybawcy.
Patrz jak się miota,
Ów flis wpośród wody. Jego jędrne dłonie
Tną falę, co tryska, jakby perła złota,
I przy blasku słońca, mieni się lub płonie.

Wśród naszych wód Wisły, ta smuga srebrzysta,
Lśni się jak meteor na lazurach nieba,
To świadek co mówi, że wewnątrz jest czysta
Wisełka, że lustra w nurtach szukać trzeba.

Jaś płynie i płynie. Zdaleka, zdaleka,
Inaczej wygląda i Jasiek i rzeka,
Boć piękny to widok, hej nawet uroczy,
Ot patrzcie flisowi skrzą jeno się oczy,

A on jak syrena, albo Świtezianka,
Wije się wciąż w ramach z perlistego wianka,
Trzepie się, jak ryba, jakby węgorz miota
Swobodnie, aż na lądzie bierze cię ochota

Iść za nim w te tany. Ale spojrzno z bliska!
Patrzaj, jak się dłoń flisa forsownie zaciska,
Jak oczy się iskrzą, jak żyły tężeją
Chcąc falę pokonać siłą i nadzieją.

Chce dobić się lądu, pragnie w jednej chwili!
Dlatego tak szybko miota się i sili.
Piersią porze wody, ciałem się popycha;
Wśród fal niezmierzonych, jest to pomoc licha—

Ale jak to w życiu zawsze człek się łudzi
I czegoś spodziewa od Boga i ludzi—

Tak też Jasiek czekał—wszak dzieją się cuda—
Może mu z tych nurtów wydobyć się uda!

. . . .

Puść starca i popłyń, szepcze mu złe z boku—
Wszak życie dla ciebie tyle ma uroku:
Ty chcesz żyć, ty musisz, ona cię tam czeka
I pyta się ludzi czy wrócisz z daleka?

Czy wrócisz zdrów do niej? rzeźwy, jak to wtedy,
Gdyś w flisy szedł z wiosną, gdyś w flisy szedł
z biedy!
A Bartosz ma zginąć? Żal mu się zrobiło,
Więc broni otmana, dalej z nową siłą.

Napręża swe dłonie, piersią pruje fale
I z wody wypruwa srebrzyste korale.
Otacza go wianek z tej perły ułudnej
I dalej przebywa ten gościniec zmudny!

. . . .

Już lądy widnieją, więc Bartosz do niego:
— No dalejże odważnie! no, płyńmy kolego.

Patrz Janku, patrz drogi, tam w dali na wodzie,
Ode wsi bieleją się z ludźmi już łodzie,
Więc jeszcze chwil parę, gdy wiatr się nie zmieni
Będziemy napewno obydwaj zbawieni.

No dalej mój Janku, twój oddech tak krótki,
Lecz siły ci wrócą, gdy wejdziesz do łódki!
Za tydzień wrócimy do twojej jedynej,
Do drogiej Marysi, do pięknej dziewczyny.

A Janek mu na to:
— Bądźe zdrów mój miły,
Nim łódka przybije opuszczą mnie siły.
— Co pleciesz?
— Śmierć straszna zajrzała mi w oczy...
Ja żyć już nie będę w oczach mi się mroczy...

Wy przeto wracajcie do domu, a z dali,
Z tej ziemi dla lubej sznur kupcie korali —
I dajcie jej mówiąc: „Gdy spojrzysz na nie
Podumaj dziewczyno o wiernym ci Janie.“

A gdy was Bartoszu Bóg dobry ocali,
To pewnie będziecie o niej pamiętali.

. . . .

Już brzeg jest przed nimi... ku nim łodzie płyną—
Choć fala je odnosi, flisacy nie zginą,
Bo nowi koledzy spieszą im z pomocą.
Od słoneczka lniane włosy im się złocą.

To Jacek i Stasiek spieszą; już są śmieli,
Boć taki kawałek, to można z topieli
Wydźwignąć obydwu...
Już stają na brzegu.
A wśród fal nie widać w cale tego ściegu.

Po którym Jaś płynął—bo wody podwoje
Zawarły się szybciej, niż po błyskawicy
Na niebie znikają ognie. Wisła swoje
Zamknęła już nurty i spokój dziewicy

Zabłysnął na twarzy Wisełki urodnej,
A fale igrają, jak uśmiech pogodny.
Jej twarz, jak z kamienia, w niej się nie odbije
Że zbrodnie i nienawiść, że szał w głębiach kryje!

Twarz Wisły nie zdradzi, że w bystrem jej łonie
Szalona złość, pomsta lub nienawiść płonie,
Nie przyzna się wściekła, albo zrozpaczona,
Że rada by tyle wody wydrzeć z łona,

Iżby nią świat cały zatopić daleko;
Chciałaby być morzem ogromnem—nie rzeką,
By swoją niedolę—bez serca... sumienia
Zapłacić dziś dziełem strasznego zniszczenia!

Jaś stanął na lądzie; twarz blada, jak płótno.
On patrzy na flisów tak rzewnie, tak smutno.
A oni: Pij wódkę, gdyś przebył tę drogę!
Pij zuchu! wołają — a on im:
— Nie mogę.

Opadły mu ręce, skłonił jeno głową
I upadł...
— A co to wam Jaśku?
— Niezdrowo!
I dodał:—Nie długo mi z wami, nie długo...
Umilknął, a wnet-ek krew ciemną z ust smugą

Wybiegła i Jasiek nie mówił już więcej,
Jeno jeszcze raz szepnął: „Moje sto tysięcy,

O moje ty złotko!"— ale tak po cichu,
Jak pszczoła, co brzęczy w dziewanny kielichu.

I upadł... A Bartosz:
— Hej obudź się Janie!
Mój Janku kochany! wstań drogi... On wstanie!
Lecz wstawaj, a prędzej, bo będziesz szczęśliwy...
Raz chociaż odetchnij... Daremnie. Nieżywy.

XII.

Nad Wisłą gdzieś w górach śpiewają Oryle
Pieśń smutną przy Jasia zmarłego mogile.
Ksiądz nie stał nad trumną, dzwon nie bił wieczorem...
Złożono go tylko pod ciemnym jaworem...

XIII.

I czegoż ty płaczesz? wracają oryle!
Oj! ciesz się dziewczyno, bo przyjdą za chwilę,
A zanim z tej ziemi odlecą bociany,
To już i z powrotem Jaś będzie kochany

I sznur ci czerwonych zawiesi korali...
Lecz dziewkę niepokój i gnębi i pali.
Zasłania swe oczy, to patrzy daleko,
Czy też tam nie idzie Jaś luby nad rzeką.

Przybywa już Wojtek i Kacper i drudzy;
Witają się z nimi i krewni i drodzy,
A Janek, ten Janek coś wraca powoli,
Aż serce Marysi już z żalu dziś boli...

Wszak ona oddawna za nim tak stęskniona,
Rzuciłaby pewnie ręce na ramiona,
Witając... A może nie wróci? A może
Tam jaką piękniejszą napotkał;—o Boże...

Czy zwiódł mnie? Niech zwiedzie, wszakżeto
[nie dziwy!
Lecz tylko niech wraca, chociaż z nią, szczęśliwy.
Za Janka pomyślność, przed Panny Obrazem
Mówiłam paciorki z jego matką razem...

Tak myśląc patrzała Marysia za skały,
A duże łzy z oczu po twarzy spływały...
W tem Bartosz przybywa ze sznurem korali.
— Marychno, toście je od Janka dostali...

I mówiąc te słowa sznur wkłada na szyję...
— A on gdzie Bartoszu?
— On, dziecię, nieżyje!...

XIV.

Nad Wisłą, nad modrą w górzystej ustroni,
Wśród lasów zielonych i skalin i błoni,
Z czerwonym koralem wyrosła kalina;
A pod nią mogiła, w mogile dziewczyna,

Co ją tak niedawno dobyto z tej wody,
Gdy więcej nie wrócił z flisaczki Jaś młody.—

. . . .

Więc flisie posłuchaj, nim tratwa odpłynie
Tej smutnej powieści o pięknej kalinie!